



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Przysłowiowa niemal dobroczynność Warszawy, śpieszącej zawsze z pomocą potrzebującym, objawiła się wspaniale na odbyłym w dniu ostatnim Lutego, tak zwanym „wielkim raucie muzycznym.“ Zabawa, która przyniosła biednym znajdującym się pod opieką Towarzystwa pań św. Wincentego à Paulo rs. 7,500, musiała się udać, no — i opiekunki są rade, ale jakiego wrażenia doznawali uczestnicy „rautu“, którym było ciasno, parno, duszno — i — uczestniczki, które zamiast zwykłej zabawy towarzyskiej, gdzie panuje większa swoboda ruchów, gdzie można ze znajomymi spotkać się i parę słów wesołej pogawędki rzucić — znalazły się ściśnięte w szeregu krzeseł, zduszone niemilosiernie z przodu, z tyłu i z boków, na czem ucierpiały przepyszne туаlety, które z wielkim niezadowoleniem ich właścicielki znikły w tłumie zbitym? Byli jednak i tacy uczestnicy „rautu“, którzy na owym „raucie“ nie byli, bo tłok w sali panował tak wielki, tak miejsce każde było szczerlnie zajęte, że pomimo wprawiania w ruch łokci, musieli zatrzymać się w sieni u drzwi wchodowych, wyobraźnią słuchu chwytając boskie dźwięki skrzypek Barcewicza, przedstawiać słowicze tony gardziółki panny Kruszelnickiej, zachwycać się „cichociami dotknięć“ Michałowskiego, — wyobraźnią zaś wzroku podziwiać wspaniałą strój pani Lüdowej, jako kochanki Bergeraca i rycerski przydziew samego Cyrana.

Powiemy otwarcie, że potrzeba okropnie kochać ludzkość i do szpiku pacierzowej kości być jej niedolami przejętym, ażeby wydać na raut

śpiewaczo-muzyczno-deklamatorski rubli kilka — nic nie widzieć, nic nie słyszeć, nie móżdż nawet wejść do sali, lub w wypadku pomyslniejszym być wyduszonym jak cytryna albo ugotowanym w tropikalnym gorącu, jakby nieboże stworzenie jakieś.

— Czego pan narzekasz? — uspokajał baryton jakiś tenora.

— Aby choć koniec nosa dostrzedz Cyrana, a tu do drzwi nawet dostępu nie ma — skarżył się tenor.

— Zobaczysz dramat cały na scenie teatru Rozmaitości.

— Ale po co ja zapłaciłem bilet do krzesła, kiedy do krzesła a nawet na salę dostać się nie mogę. Patrz pan, toż tam ludzie formalnie się duszą...

— Unikniesz więc pan wypadku.

— Ale zapłaciłem dla tego przecie, żebym coś widział i słyszał.

— Nie — ażeby pomódz biednym.

— Dałbym w takim razie pieniądze i na raut nie przyszedł.

— Wolno tak było uczynić!

— Lecz kiedym nie uczynił tego, to do sali dostać się muszę, Barcewicza i Kruszelnicką posłuchać, a Lüdową i Frenklę zobaczyć.

Przypuścił szturm, ale mur ścieśniony pleców ludzkich nie poruszył się nawet.

— Bufet jest? — zwrócił się do barytona tenor.

— Jest!

— Chodźmy tam się pocieszyć!

I wzięwszy przygodnego towarzysza pod rękę, poszedł z nim do bufetu. Po chwili posłyszał puknięcie szampanki i głos tenora:

— Niech dyabli taką filantropię wezmą!

Trudno się z tym okrzykiem zgodzić, ale trudno też nie przyznać choć w części słuszności niezadowolonemu uczestnikowi rautu. Jeżeli zabawa ma być połączona z jakim bądź celem filantropijnym, niech cel nie wyklucza zabawy.

Inaczej trudno niezadowolenia uniknąć. Zresztą raut nie jest zwykłym koncertem, ani widowiskiem, gdzie z góry wiemy czego się mamy spodziewać. Raut jest zebraniem towarzyskim, nie wykluczającym wcale rozmowy w kole znajomych, z którymi nieraz umówiono się spotkać na przewidywanej zabawie; muzyka, śpiew, monolog, czy dyalog jakiś, wypowiedziany na estradzie nie są czem innym, jak tylko uprzyjemnieniem tego towarzyskiego zebrania, *dotatkem* do zapowiedzianej zabawy. Szeregi ścieśnione krzesła nie są tu na miejscu, na sali koniecznie powinno być przestronno, ażeby nie tamowało ruchu wchodzącym, przechodzącym i witającym się. Sala powinna być zapełniona stolikami, przy których w grupach dowolnych mają siedzieć ci, którzy spotkać się z sobą zechcą. Tak dawniej bywało w sali ratuszowej i było dobrze; prawda, że przy podobnym urządzeniu o połowę prawie mniej osób mieściło się w sali, a zatem i zyski były mniejsze, lecz za to większe zadowolenie publiczności, wreszcie zabawa nie traciła właściwej sobie cechy towarzyskiego zebrania, panie nie lękały się o wykwintniejszy strój nawet, który w niespodziewanym ścisunku mógł ich o znaczne szkody przyprowadzić. Filantropia jest bardzo piękną rzeczą, lecz w danym wypadku pożyteczne z przyjemnym połączyć koniecznie potrzeba.

Co drugi tydzień zasiadam zwykle razem z wami, łaskawi czytelnicy, a zawsze jeszcze „przy kominku“, bo choć kiedy niekiedy dziwnie jasno słońce zaświeci i miłem ciepłem powieje, zaryzkowną by była pogawędka „na werendzie“, bo Marzec zdradliwy i kapryśny, dobrą wiarą nie cieszy się u nas. Lecz oto tydzień jeden minął, w którym nie podzieliłem się z wami ani uczuciami własnymi, ani wiadomościami schwytanymi na bruku ulicznym — a temu był winien ów zdradliwy i kapryśny Marzec, który mi pióro wytrącił na całe dwa tygodnie prawie.

niezdrow, zatem nie mogłem gawędzić; potem zebrało się trochę materiałów, lecz tylko szeptem mogłem opisać. Opisanie zaś nie jest dozwolonem, tak jak opisanie... dobrego wychowania; następnie materiału zabrakło, a Twardowskim być chyba nie mogła, by z piasku biczyk ukręcić.

Przed kilku dniami odegrała się komiczna krotoczwila. Spotkało się nas kilku kronikarzy i jakby umówieni, wyciągnęliśmy jednocześnie ręce do siebie, jak to żebracy czynią o grosz prosząc:

— Królestwo całe za odrobinę materiału do kroniki!—odezwaliśmy się razem prawie.

O, królu Ryszardzie! ty państwo za konia oddawałeś —i nie wiem czy tobie w chwili danej o rumaka, czy nam o materiał do kroniki było trudniej? Ja wiem, że ilekroć zasiądę do podzielenia się z wami myślami swojemi, jakiś sylf potny na ramieniu mi usiada i szepece do ucha:

— Chodziła czapla po desce, czy mówić jeszcze?...

— Precz, niegodziwcze! — wołam, a on w śmiech i swoje wciąż powtarza.

Niesposób czynić spostrzeżeń własnych na życie żyjących, potrzeba jeno powtarzać słowa i zdania obce to tu, to tam czarnymi literami na białym papierze drukowane. Rzeczy to już są przesiane, nie narażę się nikomu, po raz wtóry podając je do wiadomości ogólnej.

„Chodziła czapla...”

— Poczekajcie—o „elektroidzie“ wam coś powiem.

— Ale co?

Niebezpieczna zabawka jest z tym elektroidem. Już pewien zapalenie, zachwycony cudownym wynalazkiem, niedokończony poemat dopiewał w duszy swojej—i został w niemiły sposób przez rzeczoznawców powstrzymany. Wynalazca „elektroidu“ znać pieści się dotąd ze swoim wynalazkiem, bo pomimo opatentowania swojej maszyny, nie chce małego nawet rąbka pokazać tajemnicy. Jeżeli Szczepanikowi nie udało się nic a nic dowiedzieć się o nim, to cóż dopiero mówić o tem profanom, którzy mogą tylko pacierz za panią matką powtarzać? Dopóki więc pan Rychnowski nie pokaże *urbi et orbi* maszyny swojej i cudownej jej zawartości, musimy milczeć o tem „niebywałym odkryciu“, mimo kilku listów otrzymanych z prowincyi, czyniących nam zarzut, że ani słowa nie wspomnieliśmy o tym ósmym cudzie świata.

Mamy jednak przedwiosnie,—nad polami skowronki unoszą się, a półki księgarskie zapełniły się podłużnymi książeczkami. Nie trudno domyśleć się, że zbliżająca się wiosna wraz ze skowronkami moc poezyi nam dała.

— Czy cieszyć się mamy z tego, czy śmiać się? Chcecie ażeby był szczery? Powiem więc, że do zbytecznej radości powodów nie znam.

Rozumiem, jeżeli się znajdzie poeta „z bożej łaski“ i potężnie w struny uderzy, to pokrępią, podnosi, godzi z nędzą życia, błękity do padółu ziemskiego zbliża. Ale teraz zawiele mamy tych „natchnionych“, odkrywających przed nami rany swojego serca, kwilących o swoich cierpieniach i zawodach, rozwianych snach i marzeniach, rzucających nieraz przekleństwo ludziom i światu.

Lecz któż są ci rozczarowani?...

Poznałem jednego.

— Jezul wiele lat sobie liczysz wieszczu zapoznany?

— Ośmnaście kończę...

— A skończyłeś choć gimnazjum poeto o sercu rozkrwawionem?

— Nie—jestem w klasie szóstej.

— Dopiero?...

— Poezya nie dawała mi spokoju; jej oddany z „extemporale“ miałem zawsze „knot“, z innych przedmiotów nie lepiej i dla tego...

— Chcesz się rozplątać w „Nirwanie“.

— Przyszedłem do pana po wskazówki.

— Dobrze przyjacielu! Jeżeli masz ojca—idź do ojca, jeżeli opiekuna — idź do opiekuna i poproś go, ażeby ci dał porządne napomnienie...

Młodzieniec z „rozdartą piersią“ znikł jak kamfora, czułem tylko, że wzrokiem pogardy mnie obwiódł.

Poznałem drugiego — był już pełnoletni, żadnego naukowego zakładu nie skończył, ani jednej porządnej książki nie przeczytał, z literaturą ojczystą był o tyle obeznany co wróbel z elektroidem, a już zechciał mnie obdarzyć tomem sonetów i nowemi poglądami na sztukę rymotwórczą.

Więc cieszyć się?

Niestety!...

Żółtodzióbkom tym zdaje się, że aby rym dobrać, to poezję już tworzą i nowe prawdy światu objawiają. A to jest nic innego, jak okrutne lenistwo, rozmiłowanie się w próżniactwie, głupia żądza sławy łatwej, poza na wielkość, we własnem oczywiście mniemaniu.

Powieściopisarzy mamy moc, moc rymorobów, natomiast na polu nauki czystej pustka tak straszliwa, że jeżeli w pierwszym lepszym dzienniku potrzeba dać sprawozdanie z jakiejś nowości naukowej, czy obeznać ogół z wynalazkiem doby bieżącej — umiejętnego sprawozdawcy brakuje. Ale zajrzyjcie do kosza redakcyjnego — wiele tam spoczywa sonetów i tryoletów, poematów technieniem gorącej miłości owianych, o których „znajomi“ i „przyjaciele“ mówili z „uznaniem wielkiem.“

Pomimo jednak owego tłumy „wieszczów“, kompromitujących poezję, ta krzepicielka smutnych i znękanych żyje i od czasu do czasu potężnym odezwie się głosem.

Mamy przed sobą trzy wydawnictwa doby ostatniej: „Wybór poezyi“ Andrzeja Niemojewskiego, „Poezye“ Edwarda Słońskiego i „Abbadonah“ Kazimierza Sterlinga. Ostatnia książeczka jest ozdobiona na okładce portretem autora, a poza autora, siedzącego w tajemniczej komórcie jakiejś, mówi i o tajemniczości utworu, o jego „modernizmie.“ Modernizm poezyi nowej polega na tem, ażeby jak najmniej uczynić ją zrozumiałą. A nam się zdaje, że tu ona zupełnie z zadaniem się swoim rozmija. Cechą prawdziwej poezyi jest prostota, z prostotą idzie zrozumiałość.

W poezjach Słońskiego jest struna rzewna, autor przemawia wprost do serca i dla tego czytelnika nie nuży i mile jest widziany. Ale dużej miary poeta jest bezwarunkowo Andrzej Niemojewski.

Andrzeja Niemojewskiego ogół nasz niedawno dopiero poznał, choć pieśń jego nie od dzisiaj się odzywa.

I dziwnal

Gdy w najdalszych niemal zakątkach naszej ziemi o Kasprowiczach, Langach, Tetmajerach, Rossowskich niemal wiemy, Niemojewski był prawie nieznan. Prawda, że wszystkie swoje prace wydawał dotąd zagranicą, od niedawna dopiero na naszym poznaliśmy go gruncie.

Czy ta późna znajomość wyszła jednak na złe Niemojewskiemu?

Przeciwnie!

Przynosi z sobą nowość imienia i prawdziwą piękność poezyi.

Nie pisząc sprawozdania krytycznego, nie będziemy wyliczali dorobku literackiego poety. Zaznaczamy tylko tutaj, że tom poezyi, który mamy przed sobą, jest czystej wody brylantem; że kto się chce wykąpać w tym zdroju wód katarskich, niech zajrzy do tego zbioru, a nie pożałuje zapoznania się bliższego z tym zbiorem. Poezya bez uczucia mało jest warta, a tam jest samo uczucie. Nie lubię, lecz kocham poezję Niemojewskiego. Oto jak np. przez niego przemawia do nas jesień: Posłuchajmy tego szmeru smutku, który zapada w duszę naszą i ściele się tam z milczeniem liści zwiędłych, kołysząc nas do snu zimowego:

Przyszła do mnie jesień blada

Z wieńcem żółkłych liści w dłoni,

Przyszła do mnie i powiada:

„Pójdź, tam pogrzyb jest na błoni.

„Wiatr już dumki gra żalosne,
„Bór zawodzi smutne pienia,
„Pochowamy twoją wiosnę,
„Pochowamy twe marzenia!“

Ja nie pójdę tam na groby,
Tam gdzie pieje chór żalosny,
Tam, gdzie czarny świat żaloby,
Tam, gdzie grzebią ludzkie wiosny!

Szumi głucho jesień blada:

„Nie my wiosnę grzebiem w tobie!

„To w twej duszy liść opada,

„To w twem sercu grób przy grobie.“

Wiersz o muzykę sam się doprasza—a wyjęty został przeze mnie ot, na chybił trafił. Takiej poezyi jak najwięcej nam potrzeba, a trochę więcej nad niziny się wzniesiemy.

??

NASTROJE.

Zwątpienie.

Odchodzisz? a jam myślał, że dopiero chwilę
Wśluchiwałem się w srebrne słów twych
[szczebiotanie.
Odchodzisz—więc ostatnie przyjm podziękowanie
Za tę chwilę rozkoszy; za dobrodziejstw tyle!

Żegnaj, żegnaj! Daremnie się na spokój siłę:
Zrenica lżą zachodzi, pierś rozsada łkanie,
Brzmi w uszach, sercu, mózgu: rozstanie,
rozstanie!

Ach, żegnać, gdy zaledwie widziało się chwilę!

Tak mi jest, jakbym w cichej miał spocząć
[mogile..

Zdaje mi się, że słyszę już zdala wołanie:
Do mnie, do mnie! I czarne zlatują motyle...

Słuch mój chwyta ich skrzydeł jedwabnych
[szemranie,

Oczy już nic nie widzą... za chwilę, za chwilę
Śmierć-ach żegnaj! Ostatnie sję Ci pożegnanie!

Burza.

Przebóg! kto światła wszystkie pogasił w błękitach...
[kicie?...

Kto przestwór zalał nagle chmur czarnych
[mgławicą?

O, gromie, zagrzmij w górę, błysnij, błysnij!
[skawicól.

Z bezdusznej głazu bryły wykrzesajcie życie!...

Skały, głazy, posągi—wy śpicie, wy śpicie!
Sen wasz mocny, trzeźwą czas spojrzeć zrenicą

Za chwilę nurt zaszumi, wiry was pochwyca—
Zbudźcie się! płyną chmury, słyhać wicherów

[wyciel..

Błysnęło! To król burzy zaświecił przyłbicą...
Czarne tło nieba złote przedziegnęły nicie—
Ha—pioruny! Deszcz gęstą zleciał nawałnicą.

Czy słyszysz krzyk przyrody: życie! życie! życie!
Z bezdusznej wynijdź bryły—cudów tajemnico
I pozwól duszy mojej utonąć w zachwycie!

Przebudzenie.

Cud—cud! od krańców ziemi do niebios zenitu
Rozpięli płótna swoje niebiańscy malarze—
Na półsennie wód łona, na kamienne twarze
Kładź piękna nieśmiertelność różowy brzask

[świtu]

Obłoki—duchy białe zeszły się u szczytu
Gór i wiszą tak wszystkie, rzekłbyś, boże

[straże!]

Czekające w milczeniu, aż Bóg im rozkaże
Rozpłynąć się w oddali na falach błękitu.

Bóstwo piękna! czcigłownie otaczam ołtarze,
Lecz czemu cię nie widzę w chwili każdej

[bytu?..]

O bo lilij puhary niosą tobie w darze

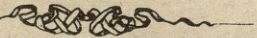
Lecz krople, i swą białość i pełnią rozkwitu—
O, tych kropel mi dajcie w tym białym

[puharze,

Bym z niemi wypił wszystkie rozkosze za-

[chwytu!..]

Mieczysław Gliński.



POSTACIE NIEWIEŚCIE

w poezjach L. Kondratowicza.

Studjum psychologiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

Oprócz poematów epicznych i gawęd, tej naj-
ulubieńszej formy utworów poetyckich Syro-
komli, w literackiej spuściźnie po nim zostało
kilka dramatów różnej wartości artystycznej.
Ponieważ akcja w dramacie toczy się przed
oczami widza lub czytelnika, a więc i proces psy-
chiczny w duszy bohaterów rozwijać się musi
wyraźniej przed nami i jaśniej w każdym swem
stadium. Ztąd i nam łatwiej będzie przeprowa-
dzić subtelniejszą analizę występujących w dra-
macie charakterów niewieścich.

Zacznijmy nasz przegląd od dramatu, zatytu-
łowanego „Możnowładcy i sierota.” Akcja wy-
wiązuje się ztąd, iż książę Janusz Radziwiłł,
mając przyobiecana sobie od dziecka za żonę
Zofię księżniczkę Słucką i widząc niechętnych
sobie jej opiekunów Chodkiewiczów, z którymi
Radziwiłłowie żyli w waśni oddawna, postana-
wia przemocą orężną przymusić ich do oddania
mu ręki Zofii. Zaraz na początku dramatu, w sce-
nie I-ej, widzimy księżniczkę przy poufalej roz-
mowie ze swoją powiernicą, Beatą. Beata zapy-
tuje księżniczkę o przyczynę ciągłego jej smutku
i częstych zadumań. Czemu, gdy przyszłość
się jej uśmiecha, gdy ma narzeczonego, który
jest księciem z książąt, czemu tak jest blada
i cierpiąca?... Zofia chce zrazu wyminąć odpo-
wiedź, lecz wkrótce się zdradza, że nie kocha nar-
zeczonego; nie pora się jednak już cofać... serce
boli — przeboli albo pęknie, lecz nikt się nie do-
wie przyczyny. Wówczas Beata ośmiela się

przypomnieć księżniczce, że przecież Chodkiewi-
cze w dawnej są z Radziwiłłami niezgodzie, że
jej opiekun niechętnie przystał na te śluby—dość
więc tylko Zofii przyznać się przed nimi, że nie
kocha Radziwiłła, a ślub będzie zerwany... Myśl
tę odrzuca księżniczka stanowczo: jakieżby bo-
wiem wówczas klęski spadły na kraj cały, gdy-
by książę Janusz, mszcząc się za upokarzającą
odmowę, orężem zapragnął praw swoich do niej
dochodzić!... Wskrzesałby się odwieczny spór
obu rodów i fale krwi niewinnej zalałyby nie-
szczęśliwą ojezyznę... a ona byłaby winną tych
nieszczęść!... Nigdy!... Woli poświęcić się na
ofiarał chciwości Janusza, któremu przedewszyst-
kiem chodzi o jej posag ogromny, — woli zatłu-
mić głos serca, niż przyczynić tyle nieszczęść
krajowi. Beata chce wybałać księżniczkę, kogo
ona w zamian kocha? Lecz Zofia odpowiada jej
stanowczo: „nikt się nie dowie!... Bóg tylko je-
den—drugi kapłan po nim!..”

Tak więc na samym początku dramatu widzi-
my ową wewnętrzną walkę między sercem a su-
mieniem księżniczki, która to walka jest zawią-
kiem późniejszej akcji. Walka—jak widzimy—
jest szczytną, toczy się bowiem na wyżynach
duchowych. Z jednej strony staje do walki mło-
de, gorące, spragnione wzajemnego podziału
uczucie serce,—z drugiej zaś strony—wysocę po-
jęty obowiązek społeczny, konieczność ofiary
z osobistego szczęścia dla korzyści powszechnej.
Z zestawienia obu tych wręcz przeciwnych so-
bie pierwiastków rodzi się sytuacja wysocę dra-
matyczna, godna prawdziwie bohaterskiego cha-
rakteru. Czy Zofia okaże się dość mocną ducho-
wo, aby sprostać zadaniu? Będzie to ostatecznym
wynikiem owej walki, jaka toczy się w jej du-
szy. Przypatrzmy się więc uważnie kolejom tej
walki, o ile one ujawnią się przed nami w dra-
macie.

Obawiając się ze strony Radziwiłłów zbrojne-
go najścia na zamek, Hrehory Chodkiewicz,
opiekun Zofii, najeża okna zamku działami
i przyjmuje doń zbrojną szlachtę na załogę.
Szeceń oręża i zbroic dochodzi uszu Zofii, drę-
czy jej sumienie myślą, że to one przyczyną tych
uzbrojeń, że to przez nią popłyną wkrótce stru-
mieniem krwi bratniej. Wyrzuty te sumienia
utrwalają ją jeszcze mocniej w zamiarze poświę-
cenia się w ofierze dla publicznego dobra, a ofia-
ra tem ma być pełniejszą, że będzie cierpiała
w ukryciu, że nikt, oprócz Beaty, nie będzie wie-
dział jej męczarni i jej poświęcenia. Lecz oto
widzimy ją w sytuacji, w której odstępkuje od
drugiej części swego postanowienia: do komna-
ty wchodzi Karol Chodkiewicz, którego ona ko-
cha skrycie przed nim; zawiązuje się rozmowa
w kwestyi najbliższej, jaką jest uzbrojenie zam-
ku i powód ku temu, — Zofia zauważa niepokój
i smutek na twarzy Karola i domyśla się, że i on
kocha ją wzajemnie. Odkrycie to tak silne na
nią uczyniło wrażenie, że w obecnego nie ukry-
wa dłużej swojej ofiary i wyznaje ją przed Ka-
rolem: „ja moje szczęście na ołtarz szczęściu
krajowemu złożę. Święta się zgoda w Litwie
ustanowi, podacie rękę i starzy i młodzi.” Jest
to pierwszy—że tak się wyrażę—upadek ducha
Zofii: bohaterka ustąpiła przed kobietą... Usły-
szawszy o ofierze, Karol przerywa jej żywo, mó-
wiąc, że jego stryjowi, a jej opiekunowi przede-
wszystkiem chodzi tu o jej szczęście... że niedo-
puszczą przymuszonego ślubu i zdołają ją obro-
nić przed przemocą Janusza. Tu Karol wyznaje
jej swoją miłość — a ona, wychodząc coraz wię-
cej z roli bohaterskiej ofiary, — zdradza połowę
swojej tajemnicy, mówiąc, że kocha innego... Tu
powtórnie spragnione szczęścia serce kobiety
bierze górę nad ofiarnym sercem bohaterki — to
powtórny upadek jej ducha. Wreszcie, na zapy-
tanie Karola: „kto jest ten inny?” Zofia czyni
ostateczne wyznanie: — „Ach! to wy jesteście...”
i gdy Karol, przejęty szczęściem, prosi ją, aby
powtórzyła to słodkie wyznanie, księżniczka mó-
wi już otwarcie:

„Panie starosto! żyj, broń mię od wroga!

Teraz jam silna postawić mu czoło!

W obec Janusza to samo powtórzę,

Całemu światu niech będzie rzecz jawna—

Już mi nie straszne pioruny i burze!”

Wyznanie i podzielone żywe uczucie serca
podnosi w niej tę chwilową energię, zdwaja na-
pór jej siły... lecz mówiąc te słowa: „*teraz jam
silna*,” — nie czuje tego, że właśnie w tej chwili
mężne niedawno jej serce upadło w słabości—to
jej trzeci i największy ducha upadek, zrządzenie
się zupełne ofiary...

Następnie w rzewnych wyrazach opowiada
Karolowi Zofia dzieje swego ku niemu uczucia
ona kochała go oddawna!... Anioły stróże to
jedynie świadki łez jej, które wylała przed
obrazem Przenajświętszej Panny, gdy on był
na wojnie... Ale nastąpiły układy z Radziwiłłami.
Stryj ją zaręczył, nie pytając rady, a on—Karol,
gdy powrócił z wojny — tak był zimny, słowa
nie wyrzekł do niej!... Cierpiała więc srodze, ta-
jąc w głębi łona uczucie, ufając, że czas wyziębi
uczucie, że zdoła chłodno spełnić opiekuna wolę.
Teraz, gdy on wyrwał od niej wyznanie — ona
upoważnia go do postąpienia według jego zda-
nia: „czyń, co ci się zdawa.” Temi słowami
składa całą swą przyszłość w jego ręce.

Akcja rozwija się dalej: książę Janusz, wi-
dząc, że opiekun Zofii niechętny ku niemu, po-
stanawia zdobyć jej rękę siłą oręża i gotuje woj-
sko do ataku na pałac Chodkiewiczów. Hrehory
Chodkiewicz ze swej strony obmyśla środki
obrony, chcąc jednak, aby stało się zadość pra-
wu, posyła wezwanie do Janusza, aby stawił się
w jego pałacu przed upłynięciem chwili ślubu,
oznaczonej w dawnej umowie. I oto widzimy
Zofię i Hrehorego, oczekujących w sali zamku na
przybycie ks. Janusza; północ już niedaleka,
a z nią upływa termin umowy i Zofia stanie
się wolną. Nie dziw więc, że widzimy ją mocno
wzruszoną i niespokojną. Ona zresztą nie rozu-
mie po co czekać północy? — „Lecz jam dziś...
jutro... i w każdej godzinie rękę Janusza odrzu-
cić gotowa!” mówi do swego opiekuna; on kazał
przywdziać jej strój weselny—i ona go usłuchała:

„Lecz żaden rozkaz nie będzie tak dzielny,
Bym szła przed ołtarz... z kim serce nie woła.
Niedawno słabe, niedołążne dziecko,
W stanowczej chwili nabrałam podniety;
Czuje się silną i potrafię przecie
Bronić praw moich—sieroty, kobiety...
On mnie nie weźmie—póki serce bije!”

Mówi to w gorączkowym podnieceniu, zapa-
lając się dźwiękiem słów własnych; jedyne uczu-
cie—wstręt ku Januszowi — goręje w niej w tej
chwili ponad wszelkimi innymi władzami du-
szy. Lecz oto upływa północ—Janusz nie przy-
bywa. Zofia z ostatniem uderzeniem zegara
zdejmuje z palca pierścień zaręczynowy i rzuca
go na stół, wołając: „A więc swobodna jestem
od tej chwili! Palł mi rękę ten kajdan ze złota!”
Tu Karol wyjawia przed stryjem, a opiekunem
Zofii, wzajemną ich miłość i prosi go o jej rękę.
Zofia opowiada opiekunowi swemu dzieje swej ku
Karolowi miłości, — z jaką to radością tajoną
i drżeniem serca witała go wracającego z wo-
jennych zapasów, jak umiała poznać po tenten-
cie jego rumaka wśród tysiąca innych, jak wresz-
cie cierpiała, gdy idąc za wolą opiekuna, wkła-
dała na palec pierścień zaręczynowy Janusza.
Wreszcie, gdy Karol niedawno wyznał przed nią
swoją miłość, — cierpienie jej odrazu zniknęło
i „za łzę rozpaczy, gorącą, piekielną, zaraz łza
szczęścia zalała jej oczy...” Zwierzenia te prze-
rywa łoskot bębnow i harmat—to książę Janusz
idzie upominać się orężem o rękę księżniczki.
Zrazu wrzawa wojska łąkiem i trwogą napawa
księżniczkę, lecz wkrótce podniecenie umysłu
i serca przewycięża trwogę i Zofia w te słowa
mówi do Karola: „w miarę, im bardziej zbliża
się nieszczęście, czuję, że duch we mnie wzrastał
przy grzmocie bębnow i przy chrzęście zbroic,
ja zapominam, że mam słabą niewiastę... Ja na śmierć
głowę poniosę o choczko, umrę szczęśliwa — bo
umrę przy tobie!” Lecz w chwilę później, gdy
hałas się wzmaga i Karol wychodzi, by na czele
załogi odeprzeć nieprzyjaciół, łąkiem przejęta
księżniczka stara się go zatrzymać przy sobie
i mówi: „Nie idź tam, Karolu! tam twojej gło-
wie grozi tysiąc mieczy... a któż tu moją głowę
zabezpieczy?” Lecz Karol śpieszy, dokąd go

wzywa obowiązek. Pozostaje w sali księżniczka z Beatą. Hałas i wrzawa przed zamkiem coraz się wzmacnia, wszczynają się już walki, padają pierwsze wystrzały. Zofia truchleje o życie Karola, jednocześnie z tem jednak budzi się w jej głowie myśl niepokojąca: „Lecz któż przed Bogiem i krajem odpowie za wszystkie głowy, co dzisiaj upadną?...“ Beata, która wygląda przez okno, zwiastuje jej, że zabito jakiegoś żebraka, co siedział przy bramie i czyjeś dziecię ginie w płomieniach. Na tę wiadomość wyrzuty ze zdwojoną siłą budzą się w sumieniu księżniczki:

„Dziecię i żebrak, dwie niewinne głowy
Już w mojej sprawie upadły w ofierze...
Straszliwa hydra niezgody domowej
Ze krwi i z ognia już haracz swój bierze....
Och—jam niewinna! Boże! jam niewinna,
Chyba że Kocham — i za to jedynie
Giniesz przeze mnie—o ziemio rodzinna!
Niech raczej dzisiaj moja krew popłynie...“

Przy odgłosie nowego wystrzału przychodzi jej myśl: „Gdyby ta kula strzaskała mi głowę sierocą i moje nieszczęśliwe serce, — przedłużyć wojny nie byłoby o co...“ Myśl o dobrowolnej ofierze, któraby zakończyła ten rozlew krwi bratniej, budzi się powtórnie w jej sercu; lecz teraz, zakosztowawszy już przyszłego szczęścia i nadziei szczęśliwej miłości, mniej zdolną jest Zofia do bohaterskiego poświęcenia: „Wyrzec się szczęścia?... Ratuszujcie mnie biedną! Niel to nad siły! my się nie wyrzeczemy!...“

Wchodzi Karol, który jej zwiastuje, że zwycięstwo przechyliło się na ich stronę, lecz zarazem opowiada o klęskach, które na kraj sprowadza ta wojna: „My ich pobijemy... lecz to tryumf lichy pokonać braci — choć braci źleję chcę!...“ Zresztą — tu nie on napastnikiem: on tylko się broni — i musi dalej walczyć, bo walczy za rzecz najdroższą dlań w życiu całym, o jej rękę. Na to odpowiada mu Zofia:

„O moją rękę!... Miłosierny Boże!
Przebac mi, przebac! bo to ciężka wina!
To moja ręka kieruje te noże,
Któremi Litwa wzajem się wyrzyna...“

Przed przekleństwem niewinnych ofiar, przed brzemieniem odpowiedzialności za klęski cofa się dusza Zofii... szlachetniejsze pierwiastki biorą górę w jej sercu nad pragnieniem osobistego szczęścia — i oto zwraca się do Karola z błaganem: „Niel... nie, Karolu!... jedna chwila mężstwa! Odrzuć mi rękę!...“ A gdy Karol mówi, że przecież Janusz nie godzien takiej ofiary—ona odpowiada mu z mocą: „Lecz ojczyzna godna, by jej swe szczęście przyniesło na ofiarę!“ Jeszcze raz wyznaje przed nim miłość swoją ku niemu: „bez ciebie nigdy szczęścia mi nie będzie. Umrę z bólesci pod dachem Janusza.“ Błaga go jednak, by się ulitował nad nieszczęśliwym krajem, by odrzucił jej rękę; klęka wreszcie przed Karolem i woła:

„Zofia cię błaga!
Musim się rozstać... to dla szczęścia braci!
Z takich cierpień składa się zasługa!...“

Karol ustępuje jej błaganiom, i gdy wchodzi książkę Janusz, Zofia podchodzi ku niemu i prosi go, aby co prędzej rozkazał żołnierzom zaprzestać bitwy i ugasić pożar, mówi doń już ze spokojem:

„Twej się potęgi Chodkiewicz nie lęka;
Lecz jeśli ręce umyłeś z krwi bratniej,
Przybliż się, książę—oto moja ręka!“

Tak więc, pomimo wszelkich chwilowych upadków na duchu i wahań, w końcu wysoki pierwiastek moralny, jakim jest poświęcenie własnego szczęścia dla dobra ogółu, odnosi zwycięstwo i tryumf w sercu Zofii nad niższymi uczuciami i księżniczka zasługuje w zupełności na zaszczytne miano bohaterki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg.)

XII.

Wigilia.

Z chwilą przybycia Sochackich i przepędzenia z nimi pierwszego wieczora, ciężar wielki spadł z duszy pana Hipolita. Dawniej dręczyła go samotność; gdy zaś z gospodarstwem się uporał, przywiezione z poczty listy i dzienniki odczytał, a książka znudziła, musiał myśleć, a myśli nie były zabawne i nie krzepiły go w niczem. Obojętność matczyną, chłód jej serca odczuwał coraz więcej,—nie rozumiał ich przyczyny i kręcił się, jak w zaklętym kole nierozwikłanych nigdy pytań. Oddając się ciężkiej, gospodarskiej pracy, nie dozwalałajęj ani na jedną chwilę spoczynku, musiał powoli odsunąć się od wszelkich stosunków towarzyskich, z uśmiechem zgodzić się na nazwę dziwaka, wystarczyć sam sobie, zagrzebać myśl i uczucie w tej ziemi tylko, którą w pocie czoła uprawiał. Przychodziły jednak godziny zniechęcenia i smutków wielkich, nie odrywał wprawdzie rąk od pracy, lecz pytał siebie:

„I po co to wszystko?“

Był sam, coraz więcej oddalał się od ludzi, i ludzie się do niego nie garnęli. Spojrzenie jednak, rzucone na portret pradziadowski, budziło go z odrętwienia i dodawało sił nowych.

„Twoją była ta ziemia—szeptał—zniszczyły ją i wyjałowily następne pokolenia, moim jest obowiązkiem zrobić ją urodzajną i bogatą.“

I pracował dalej z zupełnym zaparciem się siebie, wiedziony tylko — poczuciem obowiązku.

Była to więc ofiara, złożona na ołtarzu—idei.

Mimo to serce ludzkie ma swoje prawa i — choćby poświęceniu granic nie zakreśliło — rwie się do szczęścia. O niem w ostatnich czasach zaczął myśleć i pan Hipolit.

Nawiązane znów stosunki z domem Hajczyńskim były wstępem do nowego życia. Uśmiech panny Matyldy mówił mu wyraźnie, że usta kobiece do niego uśmiechać się mogą, poznanie zaś życia Sochackich i zasłyszany szczebiot dziecięcy, dały tym pragnieniom wyraźniejsze kontury, wzmocniły je i utrwaliły.

Przez pierwsze lata mozolnej, ciężkiej pracy był tylko wyrobnikiem: wszystko, co miał, oddawał ziemi; gdy ziemia ta zaczęła wynagradzać trudy, zbywającym groszem dzielił się ze współpracownikami swoimi, którzy nie opływali w rozkosze życia, teraz — nie zapominając o innych, pomyślał i o sobie.

Sochacki w Górkach, Groblewski wyręczał go w Piaskach. Pan Hipolit miał już więcej godzin swobodnych, a choć je wypełniał myślami, myśli te były mniej posępne, niż dawniej. W splocie marzeń przebłykiwała czasem nie złota, rwąca się, nieuchwytna jeszcze, lecz rzucająca wciąż blask ponętny. Przemiana, która odbywała się od wnętrza jego istoty, wybitnymi znakami przejawiała się na zewnątrz: oczy pana Hipolita czasem świeciły blaskiem dziwnie młodzieńczym, zmarszczone zawsze czoło wygładzało się powoli, usta poruszał uśmiech, a niewidziana przedtem rzeźkość pojawiła się w ruchach. Zasepiało go jeszcze nieraz wspomnienie obojętności matki, lecz i z tem się już godził. Nie znalazł serca tu — poszuka gdzie indziej.

Piękna jesień trwała do połowy Listopada, lecz koniec tego miesiąca zaczął kaprysić. Sklepienie niebieskie pokryło się szaremi, jednostajnymi chmurami, dni były słotne i krótkie, noce

słotne, ciemne i długie. Nie lepszym był i początek Grudnia.

Te ostatnie dni jesieni i pierwsze chwile, zwiastujące przybycie zimy — zawsze gnębiąco oddziaływały na pana Hipolita. Robót w polu oczywiście już żadnych nie było; jakie takie zaś zajęcia gospodarskie na folwarkach kończyły się przed czwartą po południu, bo słońce, wstawszy późno, śpieszyło znów na spoczynek. Tyle godzin w samotności i ciszy, wśród czterech ścian pokoju musiał przeżyć pan Hipolit i wystarczyć sam sobie. Godzinami całemi krążył nieraz na około jadalnego stołu, zakreślając elipsę, aż w malowanej podłodze wyłobit krąg owalny.

Teraz jednak zmieniło się wszystko.

Zapłaciwszy robotnika; zamknawszy rachunki, przeczytawszy listy i gazety i parę razy okrążywszy stół, szedł do Sochackich na herbatę wieczorną, witany przez starszusków uśmiechem serdecznym, a przez dzieciaki okrzykiem:

— Pań, pań — psied pań!

Z radości w drobne rączęta klaskały i gramoliły się zaraz na kolana Grudowskiego.

— Hop-papa! hop-papa! — wołał uszczęśliwiony pan Hipolit, huśtając ich na kolanach. Gdy przestawał, dzieci, podrygując mówiły: eście, eście! — babcia z uśmiechem rozkosznym patrzyła na rozbrykane wnuczęta, a dziadus kręcił głową i niby zrzędził:

— A, bisurmany, bisurmany! zamęczycie m

dziejczak!

I napędzał dzieciaki, ale pan Hipolit nie pozwalał im żadnej krzywdy uczynić, całował, pieścił, brał na barana i awantury z niemi wyprawiał. Dzieci się śmiały, szczebiocząc, jak loretańskie dzwonki, słiczne oczęta świeciły blaskiem uroszonych bławatków, a buzie rumieniły się jak wiśnie.

— Daj buzi ujeck, diaa! — dziękowały, spać idąc.

Pani Barbara rozkochała się w dziedzuca za tę miłość dla sierotek, a jeżeli którego dnia pan Hipolit na herbatę nie przyszedł, dzień ten był zaliczony na rachunek złych dni.

Pan Hipolit przybycie Sochackich uważał za istne błogosławieństwo dla siebie, bo stary gospodarzem był doskonałym. Basieczka zajęła się mleczymem, następnie wyrobem serów, a co najważniejsza, że Grudowski już nie czuł tak samotności swojej, mając zawsze gdzie pójść, do kogo zagadać.

Długie godziny spędzając u Sochackich, poznał całą ich przeszłość i ich samych. Stary opowiadał mu o nieboszczyku synu, który na wzburzone morze wypłynął, walcząc z falami, unoszącymi łódź wielką, lecz na poły już rozbity. Obudził się omdlały na krańcach dalekiej ziemi i lat kilkanaście pracował w podziemiach jak wyrobnik prosty. Ożenił się, mając już włos srebrzysty na skroni — i umarł, zostawiając żonę i dzieci troje. Biedna matka nie przędko wróciła do stron ojczystych — a gdy wróciła, to po to tylko, by dzieci zostawić rodzicom swojego męża, a samej pójść do krain nieznanych. Krwawa ta karta była w życiu Sochackich, po której zamknięciu musieli o jeden stopień zejść niżej ze szczebla, jaki w sferach towarzyskich zajmowali, lecz o jeden stopień stanęli wyżej w oczach tych, którzy głębiej czuć i patrzeć dalej umieli.

Poznał więc pan Hipolit ich życie pełne trosk, walk i ubóstwa. Dowiedział się, że Staś i Władek mieli siostrzyczkę, dorosłą już panienkę, która na własne pracowała utrzymanie. Mieszkała w Warszawie i dawała lekcje muzyki. Dziadostwo serdecznie chciało, ażeby na święta Bożego Narodzenia Marynia przyjechała do nich, lecz, że te święta w Grudkach obchodzono według starego stylu, a zajęć przerwać nie można było, przesłała im tylko w liście opłatek, pocieszając się nadzieją, że może, może święta Wielkanocne przepędzą razem. Staś i Władek z niecierpliwością oczekiwali „Malini“, bo obiecywała im przywieźć jajka cukrowe z barankiem i Panem Jezusem z chorągiewką.

Pan Hipolit przypatrując się rodzinie Sochackich, coraz częściej sobie powtarzał, że starokawalerstwo jest wielkim sobkostwem. Człowiek

rzadko żyje dla kogoś, najczęściej dla siebie. Rodzina jest małym światem, któremu trzeba coś z własnych upodobań i wygod poświęcić. Każdy obowiązek uszlachetnia człowieka, a cóż dopiero obowiązek dla *swoich*, gdzie na straży stoi miłość. Samolubstwo musi ustąpić szlachetniejszemu uczuciu, choćby nie wiem jak rozrosło się w sercu człowieka. Gdy go nie pokona uścisk kobiety, szczebiot dziecięcia, człowiek—potworem się staje. Rodzina jest szkołą miłości i dobrych uczynków—Bóg objawia się w rodzinie.

Ale to objawienie się spoczywa tylko w mocy kobiety. Lecz jeżeli pierś kobiety bez serca będzie, jeżeli jej ustom zabraknie chęci spocząć na czole spracowanego męża, jeśli nie odczuje jego kłopotów i zmartwień i uśmiechem a pocałunkiem gniotących trosk nie rozgoni, na pierś jego nie padnie złotym, słonecznym promieniem wtedy smutek i cień snuć się będą, jak pająki wśród ścian tych—i podwoi się ból życia.

Tak rozmyślał pan Hipolit, chodząc po samotnych pokojach swojego mieszkania. Przerzął go chłód kobiety bez serca—i w myśli mu stawała matka; zwracał się wtedy ku pannie Matyldzie, przypominając sobie uśmiech jej ust i ciepły uścisk dłoni przy każdym powitaniu. Coraz częściej zachodził do salonu, coraz częściej wpatrywał się w aleje ogrodu, a idąc do młyna wybierał zawsze tą wąską ścieżkę, którą niegdys z panną Matyldą przechodził.

Od dnia tego upłynęło półtora miesiąca. O pannie Rybiance Hipolit prawie nie myślał, jednak ta lub owa okoliczność przypominała mu ją czasami. Zrazu, mając w pamięci tę krótką chwilę spędzoną z nią razem,—chwilę, w której mu *tak dobrze było*—chciał przypomnieć sobie rysy panny Matyldy, lecz to mu się wcale nie udawało; później jej cień wyraźniej się zarysował po pierwszym od Sochackich powrocie, aż oto, gdy przyszedł teraz do młyna, zdawało mu się, że już pamięta ją dobrze, że czuje ciepło jej ramion, widzi jej ruchy i twarz rozognioną jakimś dziwnym pożądaniem, i oczy palające, i silniejsze rumieńce na twarzy. Postać jej stawała się coraz wyraźniejsza i coraz więcej pociągała go ku sobie.

„Już ją pamiętam,—szeptał,—ale—nie tęsknię jeszcze.“

Nie tęskniąc, nie czuł potrzeby zobaczenia jej i zapomniał, że Hajczyńce są zaledwie o mil parę odległe od Górek.

Pan Ryba ścierał brwi, pani Rybina niecierpliwiała się, jedna tylko Matylda najmniej zdawała się brać udziału w tym niepokoju rodziców. O panu Hipolicie wspominać lubiła; że przyjedzie, była pewna, reflektowała nawet panią Brygittę, gdy ta chciała gońca do Górek wysłać z zapytaniem o zdrowie.

— Moja mamó,—mówiła,—wina zawsze pociąga za sobą pewną karę. Nie łatwo zapomnieć panu Hipolitowi o dawniejszym naszym postępowaniu: musimy go przekonać, że się wszystko zmieniło na lepsze, że dziś ja szczerze mogę być przywiązana do niego. Każdy krok niewłaściwy z naszej strony może go zrazić tylko i upewnić, że panna Matylda, straciwszy nadzieję wyjścia za męża, pierwszemu lepszemu na szyję rzucić się gotowa.

— A niechże Bóg broni, żeby to mu do głowy przyszło!—zawołała pani Brygitta.

A pan Ryba na to:

— Matyldko, głupstwa pleciesz, tego uważasz. Niejeden by do ciebie ciął koperczaki, choćby nic nawet o posagu nie wiedział, ale—tego uważasz—ja muszę patrzeć, kto on i co za zac. Tymczasem Hipolita znamy—i ród, tego uważasz,—i człowiek—tego uważasz! Ale, że ty masz rację, to masz! Mama za gorąco do rzeczy się bierze.

— Zgoda, mój Turciu zgoda,—mówiła pani Rybina,—lecz ty bierzesz się za obojętnie.

— Ja?—zawołał pan Ryba.

— Ty, Turciu, ty, jak zawsze...

— Zastanów się, Brygittko, co mówisz, bo to mnie może do ostatniej pasy doprowadzić—tego uważasz!

— A jednak...

— Co, jednak, co?—uniósł się trochę pan Ryba.—Kto sprowadził na imieniny twoje Hipolita, jeżeli nie ja? Kto mu nigdy nie skrewił w przyjaźni, jeżeli nie ja? Komu zachciało się herbaty, jeżeli nie mnie? Wszystko ja—ja—i ja! a przecie Tołpiskiewicz mi mówił, że Grudowska pojechała do Lwowa na ślub swojego syna.

— To ty wiedziałeś o tem?

— A jakże!

— I naumyślnie wymyśliłeś tę wizytę, by zadość obowiązkom sąsiedzkim uczynić, a zarazem do pana Hipolita się zbliżyć?

— A jużci!

— Rozumiem teraz kunktatorstwo twoje, Turciu!

— A—ha? i jak ty teraz, tego uważasz, możesz mówić o mojej obojętności?

— Ale, widzisz, już półtora miesiąca upłynęło od tej chwili a pan Hipolit nie pojawił się dotąd...

— Nie widziałeś go dwa lata i siedziałeś cicho, to daj mu teraz trochę czasu do namysłu. Uważałem ja, uważałem, tego uważasz, jakim wzrokiem patrzyła, gdy Matyldka nalewała mu herbatę. Gdy raz jeszcze będziemy w Górkach, sam już jej zaproponuje wycieczkę do młyna.

— Ach, młyn!—westchnęła panna Matylda.

Pani Rybina przyznała słusność mężowi i córce. Zresztą zbliżało się Boże Narodzenie. Grudowski nie omieszka skorzystać z okazji świąt i przyjechać do Hajczyńce.

Na parę dni przed Wiligiją mróz ścisnął ziemię i śnieg upadł. Pola i lasy okryły się białym całunem, na szybach okien rysowały się palmy i paprocie, starzy gospodarze przepowiadali, że zima będzie śnieżna, mroźna i długa. Wierzył tym wróżbom Hipolit i cieszył się z nich.

Będzie to pierwszy rok, który grosz czysty do skarboxy mu wysypie. Z rozpoczętego omłotu zboża ostatni dług płacił, na wszelkie wydatki odłożony grosz leżał w kasie. Przez przeciąg lat trzynastu płynął po morzu raf pełnym i wirów śmiertelnych, aż oto, przy żaglach, rozwiniętych pod wiatr pomyślny, do spokojnego brzegu przypłynął.

Pocieszało go również i to, że nie sam siadzie do stołu wigilijnego, bo na Wigilię zaprosił się do Sochackich.

Uradowali się niezmiernie starszankowie, choć uprzedził życzenia Basieczki. Władek mu zaraz wyszeplecił, że będą „lyby,“ a babcia „kny-syki“ piecze nadziewane cebulą. Staś dojrzał powidła sliwkowe na pierożki.

Według prastarego zwyczaju na stole rozestano siano pokryte obrusem, a w kąci pokoju stanął snop żytni. Nieparzysta była liczba zasiadających do uczty, zaproszono więc Czubińskiego, który w czarnej, nowej sukmanie, przepasany pasem pasowym, w butach do kolan, zjawił się o wyznaczonej godzinie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—odezwał się w drzwiach.

— Na wieki wieków,—odpowiedziano.

I pan Tymoteusz Czubiński z powagą przekroczył próg izby.

Grudowski przypatrywał się przygotowaniu do uczty, która w pamięci jego budziła bardzo dawne, na poły zamierzchłe już, lecz drogie wspomnienia.

Pani Sochacka krzątała się, jak gaska szara. Wszędzie jej było pełno, wszędzie migał jej czepek śnieżnej białości, w kuchni, w saloniku, to znów w sieniach i w jadalnym pokoju. Pomagała jej tłusta dziewczka wiejska, która gdy szła przez pokój, to aż ściany się trzęsły, podczas, gdy malutka i jak trzaseczka sucha pani Sochacka przemykała cicho, jak sen, jak mara, drobnymi stopkami ledwie dotykając ziemi, a, przebiegając pokój, zwracała się co chwila to do Czubińskiego, to do męża, to do pana Hipolita, prosząc, by nie przeoczyli pierwszej gwiazdki, która zabyłśnie za niebie.

— Uważajcie, panowie, bo u mnie już wszystko gotowe,—powtarzała.

Stół był nakryty, na talerzu leżały opłatki.

Czubiński pierwszy dostrzegł zwiastunkę dobrej nowiny i uroczystym głosem rzekł:

— Zwizda!

A wtedy Sochacki zaintonował pieśń: „W złości leży!“ podchwyconą przez wszystkich obecnych.

Zrazu pan Hipolit nie należał do chóru. Oparty ręką o fortepian, stał i patrzył na śpiewających, ale, widząc o białej głowie starca, który—w ogromnym skupieniu ducha, z oczyma utkwionymi w niebo, z wielką wiarą w Dzieciątka Boże, dające pokój światu—drżącym głosem chwalił Pana nad Pany; widząc tę staruszkę siwą, unoszącą się na skrzydłach świętej pieśni, i Czubińskiego, który grzmiał piersią całą,—sam się dał porwać uniesieniu i—zrazu cicho, niepewnie, później śmielej i głośniej łączył dźwięk z dźwiękiem, aż niemal zapanował nad chórem.

Dla pana Hipolita szczególnie był rozrzucający widok dzieci: u nóg babci klęczały maleństwa, niby aniołków parę, z nabożnie złożonymi rączkami; oczki nieruchomie patrzyły w dal jakąś, a minki tak poważne miały, jakby uroczystość chwili nie była obcą i dla nich. Dopiero, gdy pieśń umilkła, zerwały się z hałasem, napełniając dom cały szczebiotem swych głosów dziecięcych.

Pani Sochacka zbliżyła się do stołu i wzięła opłatek do ręki. Oczywiście, że nasamprzód posdesza do pana Hipolita.

— I czegoż mi pani życzyć będzie?—zapytał Grudowski.

— Żony dobrej i dzieciak dobrych!—odpowiedziała bez namysłu.

Nigdy jeszcze życzenie żadne nie zbiegło się tak, jak to, z myślami pana Hipolita.

— Dziękuję,—szepnął,—serdecznie dziękuję.

I rękę staruszki do ust owych przycisnął.

Pani Sochacka zmieszała się trochę, ruch ręki zdradzał chęć wysunięcia jej z uścisku, lecz, czując już na niej gorące usta Grudowskiego, rozrzucona tym niespodziewanym znakiem szacunku, objęła głowę pana Hipolita, przytuliła do piersi i długi pocałunek na czole jego złożyła. Pod siłą tego uścisku pan Hipolit gładził zaczął, owładło nim rozrzuwienie dziwne, w oczach lzy uczuł. Nie odrywał ust od drżącej ręki staruszki, ażeby jak najdłużej na czole swoim zatrzymać ten pocałunek matczyny.

Stary Sochacki tytnął parę razy oczyma, bo i jemu zawilgotniało pod powiekami, a gdy pan Hipolit do niego się zbliżył, z wielkiego wzruszenia słowa przemówić nie mógł.

Grudowski w milczeniu całował pana Januarygo zaczął.

— Panie dziedzicu, panie dziedzicu,—szeptał Sochacki.—jakże to... ja i pan!... Ale dzisiaj Jezusik się narodził i zrównał wszystkich.

Kruchy opłatek przechodził z rąk do rąk, Czubiński pocałował w rękę pana, ten mu odplacił pocałunkiem, położonym na czole.

— A gdzie dzieci?—zapytał pan Hipolit.

— Dziauu—dziauu—dziauu...—odezwał się z pod stołu.

— A baszybuzuki! czy nie słyszycie, że *ujcio* was woła?—krzyknął Sochacki (pan Hipolit kazał siebie wujciem nazywać).

Na czworakach wylazły zaraz i przyskoczywszy do *ujcia*, do pocałunków nastawiły mu zarumienione buziaczki.

Zaczęła się wieczerza; pan Hipolit dostarczył wina z piwnicy i wznosił pełną szklanekę za zdrowie gospodarstwa.

Pod koniec biesiady rozochociono się na dobre. Czubiński chwiał się trochę na nogach, ale znając respekt dla domu, w niczem granic przyzwyczajenia nie przekroczył. Po uczcie pani Sochacka usiadła do fortepianu i zagrała starodawnego poloneza Elsnera.

Pan January słuchał uważnie, tonąc w marzeniach znać dawnych; dźwięki te w pamięci jego niejedno wywołały wspomnienie, może kołys ból jakiś, może kołysały serce zmęczone, bo uśmiechał się do tych dźwięków, czy do wspomnień wywołanych przez nie.

Marzył także i pan Hipolit, tylko myślą biegł naprzód, do dni jeszcze nie urodzonych, do snów, które się weielić mają. Muzyką podobną napełnił ściany swojego domu i słyszał tam szelest cichy i gwar niewyraźny, z których kiedy niekiedy wybiegał szczebiot dziecięcy. I znowu

w polu jego widzenia zarysowała się postać panny Matyldy; nie tylko już wyraźnie rysy jej widział, lecz czuł, że mu serce silniej bić zaczyna.

Około godziny dwunastej, gdy dziatwa się pospała, udali się wszyscy na pasterkę do Grudowskiego kościoła.

Zdaleka, na wzgórzu, wśród drzew bezlistnych widać już było dom Boży, otoczony łuną świetlaną. Ze wszystkich okien świątyni padał blask krwawy od płonących wewnątrz świateł, odbijał się o nagie konary i gałęzie lip, które na tle ognistym tworzyły jakąś płataninę misterna, olbrzymią sieć o okach nierównych. Na prawo, w oddaleniu niewielkiem rysowały się kontury pałacu Grudowskiego.

Tłum nabożnych napełnił świątynię, o której poczerńałe ściany od dwóch wieków przeszło uderzały skargi i żale, modlitwy o łaskę, błagania o miłosierdzie. Kościół był oświetlony rzęsisto, lud się tłoczył, by ujrzeć Dzieciątka Boże, w skromnej kolebce złożone. Ksiądz wikary zajmował się urządzeniem żłobka, byli więc: Panna Najświętsza i Św. Józef i królowie, co dary przynieśli i pasterze, którzy najpierw przybiegli. Nie brakowało wołu i osiołka, nawet, niewiadomo już dlaczego, i cygan się znalazł i przygrywał Dzieciątka na lirze. Ludek zatrzymywał się przed tą cudowną stajenką, urządzoną w niszy kościelnej, wdychał i modlił się, a kobiety podnosiły dziatki do góry, by się i małeństwa przyjrzały Synaczkowi Bożemu.

— O Jezu, Jezu—jakiś Ty maluśki!... tu i tam się odzywało.

— Panie! bądź miłościw duszy mojej, — szeptał głosem drżącym jakiś starzec wsparty na kij. A gdy się nabożeństwo skończyło i ksiądz zaintonował kolędę odezwał się tłum ludu, aż zadrżały ściany świątyni, zachwiały się czerwone płomyki świec woskowych, a dzieciaki przy piersiach matek kwilić zaczęły.

— Cicho, raku! — zaszeptał gdzieś głos niewieści do niedającego się uspokoić małeństwa.

— Naści, a pst!...—w innym znów kątku odezwało się kościoła.

Po nabożeństwie opuścił tłum świątynię, wyszedł Hipolit i państwo Sochacy.

Noc była mroźna; lecz pogodna, iskrząca się od gwiazd miljona, księżyc na środku stał nieba i blaskiem łagodnym oświecał całun śnieżny, szeroko rozciągnięty dokoła i lśniący się brylantami; sanna wyborna, więc konie szły rażno i parskały, wyrzucając z nozdrzy białe kłęby pary. Hipolit z Czubińskim poprzedzali Sochackich.

Gdy zatrzymano się przed gankiem folwarcznym, Grudowski uściśnął serdecznie na dobranoc dłoń staruszki i rzekł:

— Raz jeszcze dziękuję pani za życzenie.

W świetnym był humorze, pogwizdywał i pospiewywał, aż Sawko z pod oka patrzył na pana. Nazajutrz wybrał się do Hajczyniec.

(Dalszy ciąg nastąpi)

ODCZYTY.

I.

Stanisław Bełza: „Z podróży po Sycylii.“

Maryan Massonius: „Nauka i krytyka estetyczna.“

Druga połowa postu bywa zwykle w Warszawie nader ożywioną pod względem towarzyskim i umysłowym. I w r. b. obok licznych rautów i koncertów rozpoczęły się świeżo dwie sery ciekawych odczytów publicznych, których treść zajmująca i urozmaicona, w połączeniu z celem szlachetnym i przystępną lub nawet bardzo niską ceną biletów, gromadzić będą niewątpliwie w sali ratuszowej i w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa tłumy inteligentnej publiczności.

Sery prelekcji publicznych, mających zwiększyć fundusze osad rolnych, rozpoczął w sobotę d. 11-go b. m. p. Stanisław Bełza, znany szerszym kołom zarówno z katedry prelegentkiej, jak z licznych dzieł podróźniczych, że wymienimy tu tylko takie książki, jak: „Nad brzegami Bośni i Narenty“, „W stolicy Padyszacha“, „W kraju tysiąca jezior“ (bardzo ciekawy opis Finlandyi, o której p. B. miał również przed dwoma laty zajmujący odczyt w Warszawie), „Obrazy Korsyki“, „Odgłosy Szkocyi“, „Za Apeninami“ i inne. Tym razem niezmordowany podróźnik poprowadził nas znowu za Apeniny i w barwnym, kwiecistym stylu, przeładowanym trochę nie zawsze szczęśliwymi porównaniami, roztoczył przed nami obrazy największej z wysp włoskich, oddzielonej od lądu wąską cieśniną Messińską, słonecznej i obficie obdarzonej przez przyrodę Sycylii.

„Znasz li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa, pomarańcz blask majowe złoci drzewa, gdzie wieńcem bluszcz ruiny dawne stroi, gdzie buja laur i cyprys cicho stoi?“ Tem niezrównanem w piękności „Wezwaniem do Neapolu“ zachęcił nas prelegent do odbycia z nim razem półtorgodzinnej wycieczki na jedną z najpiękniejszych pereł morza Śródziemnego, wycieczki, w której barwny opis autora ilustrowany był licznymi obrazami nikańciami miejscowych typów ludności, zabytków architektonicznych, krajobrazów i t. p. Wycieczkę samą poprzedził krótki rzut oka na przeszłość historyczną i przedhistoryczną tej czarownej wyspy.

Sycylia stanowiła kiedyś jedną całość z półwyspem Apenińskim. W czasach, o których się wie, że były, ale ich bliżej określić nie można, wielki kataklizm wulkaniczny rozerwał jej bezpośredni związek z lądowym pniem Europy, wytwarzając dzisiejszą cieśninę Messińską z dwoma wiecznionami w poezyi klasycznej i groźnymi istotnymi potworami—Scyllą i Harybdą. Nie ludzie, lecz bogowie władali początkowo Sycylią. Była ona, według podań mitologicznych, ulubioną siedzibą Dyany i Minerwy; po uroczych dolinach tej wyspy lubiła przechadzać się Wenus, tu nimfa Aretuza, uciekając przed gwałtowną miłością bożka rzecznego Alfeusza, rzuciła się w morze i na wyspie Ortygii pod Syrakuzami przemieniła się w źródło. Lecz niezrażony Alfeusz przybrał na siebie kształt rzeki i, przepłynąwszy morze, połączył się z kochanką.

W późniejszych nieco czasach, w których do podań mitologicznych przyłączyły się fakty historyczne, po bogach i tytanach zjawili się na Sycylii ludzie. Mimo zastraszczeń opisów Homera, piękna ta wysep od najdawniejszych czasów nęciła i przyciągała tłumy wychodźców i nieustraszonych zdobywców, przechodząc z rąk do rąk, jak cacko. W żadnym może zakątku ziemi nie stoczono tylu walk, nie wylano takich obfitych strumieni krwi, jak na Sycylii. Szczęk oręża, okrzyki zwycięzców, jęki zwyciężonych rozbrzmiewały tu niemal bez przerwy. Więc po pierwotnych mieszkańcach wyspy—Sykylach przyszli Fenicyanie, po nich zjawili się Grecy ze swą wspaniałą cywilizacją, wkrótce potem z południa groziła Sycylii zaczęli Kartagińczycy, a z północy dłoń swą zaborczą wyciągnęła ku niej wszechwładna potęga Rzymu. Bizancjum, Wandalowie i Goci sfanatyzowane legiony saraceńskie, surowi Normanowie, Hiszpanie i Francuzi byli kolejno przez krótszy lub dłuższy czas posiadaczami uroczej kochanki bogów i słońca, która przed pięćdziesięciu laty dopiero zdołała połączyć się znowu z macierzystą Italją i dostać pod berło narodowej dynastyi włoskiej.

Wędrowni różnyh ludów i krwawe zapasy o Sycylię sprawiły, że stała się ona krajem, gdzie na tle cywilizacji łacińskiej, różnorodne wpływy wyhaftowały swój ślad niezatarty. Każdy ze zdobywców i szczęśliwych, acz chwilowych tylko posiadaczy wyspy, pozostawiał na niej „swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty.“ Obficie rzucały posiew cywilizacji wszedł i wydał plon obfity, Sycylia w starożytności jeszcze stała się kochanką Apollina i Muz, siedliskiem nauk ścisłych i sztuk, a główne mia-

sto wyspy, Palermo, za czasów Arabów nie ustępowało w świetności i blasku Kordubii.

Po tych uwagach wstępnych przeszedł prelegent do obecnego stanu rzeczy na wyspie, przechodzącej na każdym kroku ślady różnorodnych wpływów, które tu w swoim czasie odgrywały mniejszą lub większą rolę. W szeregu miast włoskich Palermo i dziś wyróżnia się swą pięknnością. Góry, pokrywające północną część Sycylii, rozstąpiły się i utworzyły urodzajną dolinę, otaczając ją w kształcie podkowy. W dolinie tej, zwanej dla swej piękności i słoneczności złotą muszlą, *conca d'oro*, wśród gajów pomarańczowych i palm rozłożyło się Palermo, liczące blisko 300,000 mieszkańców a cieszące się nieodłącznym epitetem—*felice*. Jest to rzeczywiście ładne, wesołe miasto, z prostemi i do syć szerokimi ulicami, z ładnemi, śmiejącemi się kobietami o typie hiszpańskim raczej, a nie włoskim, z mnóstwem pięknych gmachów, będących mieszaniną stylów i przedstawiających pod tym względem jedyny w swoim rodzaju konglomerat.

I w ogóle wyspa cała wywiera wrażenia jakiegoś muzeum cennych pamiątek, a architektura jej ruin, świątyni, gmachów publicznych i domów prywatnych otwarcą najlepiej ten szereg przemian kolejnych, które tu po sobie następowały. Pomysły greckie, bizantyjskie, arabskie zlewają się z późniejszymi, wytwarzając połączenia niezwykle, nigdzie więcej nie spotykane na ziemi. To, co po Grekach zostało, nosi na sobie, naturalnie, najwięcej cech istotnego aryzmu i budzi zachwyt i podziw największy.

Lecz jeżeli przeszłość Sycylii zapisała się wielkimi dziełami kulturalnemi, to teraźniejszość jej świadczy, że spokój, będący ważnym czynnikiem postępu, oświaty i cywilizacji, nie jest bynajmniej pod tym względem czynnikiem jedynym. Sycylia, połączona od pół wieku z Włochami, nietylko nie odzyskała dawnego blasku, ale należy obecnie do krajów z najniższą kulturą i nie może się zdobyć na wyzyskanie w drobnej choćby części swych olbrzymich bogactw naturalnych.

Wyspa cała wydaje się jakimś wielkim ogrodem, zadziwiającym istic tropikalną roślinnością. Gaje i lasy pomarańczowe, cytrynowe, laurowe, kaktusy, daktyle, trzcina cukrowa, drzewo papyrusowe spotykamy tu w stanie dzikim na powierzchni ziemi, która we wnętrzu swem ukrywa takie skarby kopalne, jak złoto, srebro, ołów, żelazo, miedź, marmur, agat, szmaragd, alabaster, saletrę i innych wiele. W pobliżu Etny znajdują się niewyczerpane pokłady siarki, dostarczające Europie dwie trzecie ogólnej ilości tego produktu, zużywanej przez nią corocznie.

Kraj jest bogaty bardzo, ale człowiek przygląda się obojętnie temu nagromadzeniu bogactw, pozostawia odłogiem znakomity warsztat pracy i nie przyczynia się niczem do zwiększenia jego wytwórczości. Żyje z dnia na dzień, zadawalając się skromnym posiłkiem, złożonym z owoców i jarzyn, i powtarzając swe ulubione, a odbierające energię życiową, przysłowie: *Come Dio vuole*. Rolnictwo w upadku, przemysł nie został rozbudzony, a eksploatacja bogactw naturalnych znajduje się w rękach cudzoziemców.

Na tle apatyj ogólnej rozrósł się bujnie chwast krwawej zemsty (*vendetta*), płacącej śmiercią za obrazę najmniejszą i głoszącej zasady w rodzaju: „kto ci zabierze kawałek chleba, odbierz mu życie.“ *Vendetta*, usprawiedliwiająca corocznie setki mordów, podtrzymywana jest przez wszechwładną instytucję „*mafii*“, która prawdę zaleca mówić tylko na spowiedzi... W związku z takim stanem rzeczy stoi niska oświata ludności, wśród której analfabeci stanowią 75% ogółu, oraz nędza powszechna, sprawiająca, że piękne miasta sycylijskie są siedliskiem brudnych i obszarpanych żebraków, a myśl ucieka od smutnej teraźniejszości do tych pięknych wieków ubiegłych, gdy uroczą i bogata Sycylia była siedzibą nauk i sztuk i rozsądnikiem nieśmiertelnej kultury helleńskiej.

Prelegent pociesza nas nadzieją, że pod połączonym wpływem tradycji i życiodawczej przyrody czasy te dla Sycylii powrócą jeszcze kiedyś...

Na drugi dzień po odczycie p. St. Bełży, w niedzielę d. 12-go Marca, d-r filozofii Maryan Massonius, współredaktor „Przeglądu filozoficznego,” zainaugurował nową seryję odczytów publicznych w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa piękną i bardzo dobrze wypowiedzianą preekcyą p. t. „Nauka i krytyka estetyczna.”

Zaznaczywszy na wstępie, że początek t. zw. epoki nowożytnej charakteryzuje się równoczesnym i równoległym rozwojem samoistnej myśli naukowej i twórczości artystycznej i że początek Odrodzenia cechuje się głównie w historii sztuki rozszerzaniem jej zakresu dziedziną tematów świeckich i zwróceniem się artystów do natury, źródło tego nowego zwrotu widzi prelegent we wzroście samodzielności ducha, wzroście, stanowiącym, według niego, zasadniczą granicę między wiekami średnimi i epoką nowożytną.

Na początku owej epoki sztuka wzorowała się na arcydziełach klasycznych, co powołało do życia odrębną gałąź „umiejętności artystycznych” (*Kunstwissenschaften*), mających na celu zdobycie środków do umiejętnej oceny autentyczności i wartości estetycznej odnajdywanych wówczas w wielkiej liczbie pomników sztuki starożytnej. Archeologia i filologia, znajomość techniki starożytnej i gorliwe zajęcie się osobą artysty, jako źródła piękności dzieł sztuki, stały się podstawą owych „umiejętności artystycznych,” uprawianych z zamięrowaniem przez t. zw. dyletantów, czyli zawodowych miłośników i znawców sztuki, dla których rozkosz estetyczna stanowiła główny cel życia. „Dyletanci”—to pierwsi krytycy estetyczni, a uprawiane przez nich „umiejętności artystyczne” uważać można za zawiązek krytyki estetycznej.

Cel „umiejętności artystycznych” nie był ściśle naukowy gdyż zajmowały się one między innymi i obojętną dla nauki wartością estetyczną dzieł sztuki, stanowiącą właściwy przedmiot tak zwanej krytyki estetycznej. Krytyka ta rozwijała się i rosła wraz z rozwojem zamięrowania do sztuki. Wzruszenia estetyczne stawały się coraz istotniejszą częścią składową życia duchowego cywilizowanych jednostek, z czego wynikała potrzeba uświadomienia sobie tych wzruszeń, a potrzebie tej właśnie czyniła zadość krytyka estetyczna, która, zaczawszy się rozwijać w połowie XVII-go wieku, w połowie stulecia następnego doszła do zenitu swego z działalności krytycznej Lessinga. Ostatecznym celem tak pojmowanej krytyki był tedy sąd estetyczny: szło jej przede wszystkim o wyjaśnienie, o ile dany utwór sztuki zaspakaja nasze potrzeby estetyczne, nasze zamięrowanie piękna.

W dalszym ciągu prelegent zatrzymał się nad działalnością współczesnego Lessingowi filozofa niemieckiego Baumgartena, twórcy nieznanego przedtem „estetyki,” która miała na celu wyjaśnienie istoty piękna i, jako taka, otrzymała wkrótce prawo obywatelstwa w filozofii, stając się jednym z ogniw, łączących krytykę estetyczną z nauką. Kant w swej „krytyce władzy sądenia” dał nowe podstawy metafizyczne teorii piękna i sztuki, lecz wypracowane przez obu uczonych zasady estetyki miały przeważnie charakter formalny i nie znalazły w praktycznych zadaniach krytyki estetycznej zastosowania szerszego.

Tu następuje okres rozpasanej spekulacji filozoficznej, nie krępującej się wcale danymi naukowymi, której koryfeusz (Schelling i Hegel) nie wahali się twierdzić, że zarówno filozofia, jak sztuka, mają w gruncie rzeczy jeden i ten sam cel, a mianowicie poznanie i przedstawienie t. zw. istoty rzeczy, czyli tajemniczej treści we-

wewnętrznej zjawisk. Dzięki obfitości utalentowanych lub nawet genialnych krytyków w pierwszej połowie naszego wieku, tudzież wspaniałemu rozkwitowi poezji, cechującemu tę dobę, fałszywa z gruntu zasada nie przeszkodziła rozwijając się świetnie krytyce, na co prelegent szczególnie nacisk położył, widząc w tem jeden z dowodów, że w krytyce estetycznej, zarówno jak w sztuce, a w zupełnym przeciwieństwie do nauki, talent i natchnienie znaczą daleko więcej od teorii i metody.

W piątym dziesiątku stulecia bieżącego, razem z filozofią spekulacyjną, upadła i tak zwana krytyka filozoficzna, ustępując miejsca „krytyce naukowej,” której reprezentantami są tacy uczeni jak Taine, Verron, Guyau i inni. W „krytyce naukowej” dzieło sztuki staje się przedmiotem badania naukowego i jest tem dla krytyka, czem np. dla botanika roślina. Krytyk ma zatem na celu wyjaśnienie przyczyn biologicznych, psychologicznych i społecznych, sprawiających, że dane dzieło sztuki jest takim, a nie innym, wykazanie wywieranych przezeń wpływów, wyjaśnienie stanowiska historycznego, zależności od dawniejszych i wpływu na późniejsze dzieła sztuki i t. p. Kwestya piękności utworu artystycznego staje się tu obojętną, podobnie jak dla botanika nie ma znaczenia piękność lub brzydota badanej rośliny.

Nie przecząc, że dzieło sztuki może lub nawet powinno być przedmiotem nauki, a nawet różnych nauk (historia sztuki, archeologia, psychologia indywidualna i psychologia mas, estetyka, socjologia etc.), przy dzisiejszym stanie wiedzy prelegent nie przyznaje słuszności metodzie krytycznej Taine'a i jego szkoły. („Mówiąc o analizie dzieł sztuki, wyrażamy raczej nasze pragnienie, lecz nie formułujemy zasad takiej analizy.” Nie zgadza się z tą metodą zasadniczo, twierdząc, według nas zupełnie słusznie, że nie zastąpi ona i nie uczyni mniej potrzebną właściwej krytyki estetycznej, że nie jest sama przez się wystarczającą.

Celem pracy twórczej jest piękno, dzieła sztuki należy więc, według dra Massoniusa, oceniać przede wszystkim ze stanowiska tego celu, wyjaśniając ich wartość estetyczną, ich przydatność do zaspokojenia pewnych potrzeb naszego ducha. „Piękno i sztuka — mówił prelegent — są w naszym życiu duchowym czynnikami takiej niezmiernej doniosłości, takiej niezbędnej codziennej potrzeby, że muszą też być przedmiotem refleksji i sądu krytycznego nie tylko ze stanowiska ich rodowodu i jakości przedmiotowej, lecz i ze stanowiska tej wartości, którą dla nas posiadają.”

Dziś nie szukamy „istoty rzeczy” ani w nauce, ani w sztuce. Zakres sztuki jest różny od zakresu nauki i znacznie obszerniejszy. Treść jej — to rzeczywistość cała, z której dla nauki dostępną jest ta tylko drobna cząstka, która się da ująć w system i formułę. O tej więc nieskończone bogatej, nie dającej się usystematyzować treści, będącej przedmiotem sztuki, powinna mówić krytyka estetyczna, mająca na równi ze sztuką jeden cel zasadniczy, główny, a mianowicie: powiększenie sumy piękna w duszach ludzkich.

Piękny odczyt d-ra Massoniusa, który, naturalnie, mogliśmy tu skreślić jedynie w zarysach najogólniejszych, wywołał wśród licznie zebranych słuchaczy zajęcie żywe i nagrodzony został pełnemi zapału oklaskami.

Wł. Bukowiński.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dokończenie).

XXXIII.

Pierwsza miłość.

O! jest dzisiaj lekkie wspomnienie, przyémiony czasem obraz pięknego kapitana grenadyerów ósmego pułku piechoty! Jak go sobie dziś przypominam, zupełnie zwyczajny przystojny młodzieniec, wówczas bożyszcze mej duszy. Imię jego niech tu będzie naznaczone: Antoni Mieszkowski; dziś pisze się z Brogu, tak wyczytuje go pomiędzy przybyłymi do Warszawy w pismach peryodycznych. Naówczas rodzice jego żyli bardzo wspaniale w Brogu, ale mieli podobno dzieci jedenaście, którym nie udzielić nie mogli; aby tanio utrzymać zdołali reprezentację familijną, przeto pan Antoni przy pięknej postaci, miłej fizjonomii i grzecznych pozorach, nie miał nic oprócz gaży kapitańskiej, — miał zrobić los. Czyli w zawodzie wojskowym? czy przez ożenienie dobre pod względem fortuny? Nie wiem — to mój dzisiejszy domysł, na który wpadam, mając przeszło lat 60, a wiem że się ożenił z bogatą wdową, za której pomocą utrzymał się przy ojcowskiej dziedzinie.

Lecz wcale inaczej zapatrywałam się na p. Ant. M., kiedy w połowie karnawału wszedłszy na salę balową z miłym przekonaniem, że mi strój biały, lekki, włos ciemny, w kwiaty boules de neige ubrany, do fizjonomii i postaci przystojny. Zaledwo też w drzwi salonu wstąpiłam, zbierał się kontredans — zostałam wprowadzoną w koło tańczących, a naprzeciwno mnie siedziała moja niegdyś protegowana, dziś przyjaciółka Klotylda Smogorzewska, w półkolu dam. Za nią stał mężczyzna wysokiego wzrostu, blondyn, w mundurze wojskowym i dużemi wyrazistemi niebieskimi oczami wpatrzył się we mnie — schylił do Klotyldy — z pod oka jeszcze spoglądał i rozmawiał z nią. Ona ciągle mu coś opowiadała. Domysliłam się, że mowa była o mnie.

Nazajutrz odwiedza mnie przyjaciółka. Po czułym przywitaniu i krótkiej pogadance o zmianach zaszłych w towarzystwie miejscowem, o główniejszych wydarzeniach, które miały miejsce pod niebytność moją... nic pilniejszego nie miała, jak przesładowanie mnie nową zdobyczą. Wstyd mnie było pytać o osobę; bo czułam, że się rumieńcem wydam, zgadując od początku, o kim była mowa. Jej zdawałam się obojętną i nieciekawą, więc sama opowiadała mi, jakie uczyniłam wrażenie na tym, który mi już obojętnym nie był. Ale to zostało tajemnicą serca mego przez lat dwa, nikomu nie objawioną... nie wiem jakim sposobem wszystkim wiadomą.

Młody Ant. M. przybrał sobie mało znanego nam kolegę pułku swego i kilka dni później przedstawił się w domu naszym. Ojciec mój, grzeczny zawsze, chociaż niewielki przyjaciel wojskowych, przyjął wizytę uprzejmie. Ale macocha, dumna i niedelikatna, marząca zawsze jeszcze o połączeniu mnie z synem swoim, dała poznać nieukontentowanie. Zaczęła rozmowę o ruchawkach, do których najczęściej synowie ekonomów i leśniczych z drobnej szlachty, jako zastępcy przez panów opłaceni i umundurowani wchodzili, którzy już teraz jako oficerowie w linii pomieszczeni, w towarzystwach przyzwoitych figurują. Pan Stamirowski, wprowadzający go w dom nasz, znany jeszcze w stanie cywilnym jako syn dzierżawcy, nie podnosił w jej widzeniu znaczenia nowego gościa. Ale ten — przebiegły, odgadnąwszy myśl jej, skierował rozmowę na nowsze wypadki, w których miejsca, osoby, czas i okoliczności towarzyszące wskazywały, że do tego rzędu wojskowych nie należy, o których pani domu na wstępie go wypytywała.

Pan M. wszystkie grzeczności mi czynił, każdy krok wymieniony wskazywał, że nie jestem mu obojętna. Bywał w naszym domu, widywa-

łam go w towarzystwach, na widowiskach, w kosciołach; wszędzie okazywał, że jestem celem zabiegów jego. Ale humor mej macochy ciężył jak zmora na zabawach naszych. Domyślałam się, że i ojcu niebardo przypadło do serca to nasze zaznajomienie, bo gdy razu pewnego przy stole podniesiono rozprawę anatomiczną o organizmie serca i o chorobie rozrośnięcia się tego organu, ojciec mój odezwał się:

— Jestem w kłopotcie o tę moją jedynaczkę, bo jakże wielkie serce Adamina mieć musi, kiedy się w niem pomieści Mieszkowski.

Zamknął mi usta. Nie miałam ani słówka na odparcie tego zdania, zbyłam je głębokim milczeniem, ale widziałam niestety, że upodobanie moje u rodziców oddźwięku nie znalazło.

Zaprzyjaźnił się był w domu prokuratora Lipskiego. Pani Lipska, z domu Jarzembianka, miła osoba, ale ledwo zaznajomiona z nami, pod pozorem małych wieczorków oddaje wizytę macosze mej i prosi o pozwolenie mnie do niej na takie wieczorki. Na pierwszym z nich było kilka pańien i dosyć młodzieży, tak cywilnej, jak i wojskowej. Bawiono się w gry, tańczono przy fortepianie.

Proszona wkrótce drugi raz, zastaję tylko poważniejszych mężczyzn, zasiadających do kart, panią domu i Antoniego. Zostawieni byliśmy sobie samym. Stał się bardzo czułym, ja wzruszoną byłam, ale cóż mu miałam mówić? Czy powiedzieć, że nas los rozłącza? Zerwać naraz jeden stosunek sercu miły? Wprowadzić go na myśl oporu? Przejść się nim sama?

Lękałam się wszystkiego — a on, rad widzieć mnie nieobojętną, szukał mnie w domu i poza domem; wszędzie spotykaliśmy się, nie wglądając w przyszłość, nie tworząc planów.

Kiedy letnią porą o 3-ej z rana muzyka wojskowa zabrzmiała marszem, osłonięta podwłóśnikiem, przez uchyloną firankę spojrzalam z piętra na ulicę, to z pod czarnej bermicy wznosiło się spojrzenie dwóch szafirowych oczu, dojrzały mnie, bo szpada salutowała. Tylko te jedne oczy tam były skierowane i one tylko mogły dostrzedz mnie.

A tak, rozumieliśmy się, szukali, poznali wzajemne położenie, ocenili wzajemne sympaty; ale na tem, nawet bez wyrzeczonego słowa kończyć się musiało.

Było to lato 180... roku, poprzedzające bitwę pod Raszynem. Pułk 8-my wychodzić miał z Kalisza. Na kilka dni tam zjechaliśmy, ale tylko dla załatwienia kilku bardzo ważnych interesów. Bawiliśmy bardzo incognito w przejeździe do Osieka, dóbr w powiecie Konińskim położonych.

Dowiedział się Antoni łatwo o pobycie naszym. Ciężko było na sercu... więc jeszcze, póki pora, bywał codzień, ale niekoniecznie u rodziców moich; wiedział albowiem, że z nami jedzie córka mej macochy, pani Kurnatowska, że najczęściej na górnym piętrze u niej przebywam, tam więc skierował swe odwiedziny.

Zapewne to zatrużyło rodziców, bo gdy pewnego razu wchodzi do pokoju bawialnego, gdzie się znajdowałam, macocha napozór niespodzianie wstępuje we drzwi, cofa się, nie witając, zostawia drzwi otwarte, przechadza się w poprzednim pokoju, głośno wydaje dyspozycje, rozprawia ze służbą, znów się przechadza, ale nie przybywa do nas, tylko zdaje się być na straży. Takie postępowanie zadziwić go powinno było; zwraca ku mnie spojrzenie zdziwione i prawie pytające. Zakłopotana byłam, ale nie dałam poznać oburzenia, tylko uległość. Jemu też starałam się uprzyjemnić tę ciężką, ostatnią chwilę mnie poświęconą — najżywszą jak mogłam

w takim razie rozmową, aby zapomniał dotkliwej niegościnności pani domu. Pożegnał mnie, przechodząc pokój, w którym macocha się znajdowała; na ukłon jego odkłoniła się z fizyonomią skrzywioną.

Nie mogłam naonczas wyobrazić sobie, dla czego to wszystko, kiedy i tak rozstać się trzeba było. Ale wiele później przyszło mi na myśl, że pułk ten rozkwaterowany został właśnie do miasteczka Koła, od którego Osiek o milę tylko był odległym. Ojciec mój nie zdołał być niegrzecznym, zdał więc żonie tę rolę — którą też na podziw odegrała. Antoni więc już z Koła nie bywał u nas.

Herman i Zakrzewski z tego samego byli pułku i stali w dobrach naszych. Ale gdzieby miłość nie znalazła nici, o którąby się uhaczyć?!

W Kole mieszkał doktor Herfurth, domowy nasz lekarz. Tam przebywał wiele Antoni. Pani H. kochała mnie nadzwyczaj, wiele przedstawiała ze mną. Była to sobie dość pospolita średniego wieku osoba, nie miała pretensji do niczego, a miała wiele kłopotu z mężem, który bałamucił swoje pacjentki i maltretował żonę, kiedy mu niewierność wymawiała.

Z tą więc panią H. nieprzestannie mówiąc o mnie, o wiele dopytać się mógł. Pragnął tylko, żeby mu choćby strzęp mojego pisma przewiozła na pamiątkę, choćby tylko podpis mój. Dałam podpis na oddzielnej karteczce — i nic więcej.

Gdyby nasze usposobienie skłonne było do awanturowania się... czyliby taka pani doktorowa nie posłużyła za pośrednika?

Rozkaz wojenny powołał pułk ten na pole sławy. Nastąpiła bitwa pod Raszynem. Pułkownik tego pułku zginął. Ogłoszono i śmierć Antoniego M.

Zapłakałam rzewnie w ukryciu — nikt leż tych nie widział. Zapewnie był ciężko ranny, bo długo... długo nic o nim nie zasłyszałam, aż kiedy już mężatką i matką dzieci byłam, dowiedziałam się o losie jego.

Długo jeszcze zachowywałam smutną pamięć tego lubego stosunku, co go ani romanssem, ani konkurencją nazwać nie można było. To tylko pewna, że przez ciąg blisko dwuletni jedynie sobą nawzajem zajęci będąc, uważaliśmy resztę świata jako punkt zjednoczenia skłonności naszych... ale inaczej zapisane było w księdze przeznaczenia!

K O N I E C.

MYŚLI.

Miłość w górę się wznosi i poziomemi rzeczami wieźć się nie daje.

Szlachetna miłość zachęca do czynienia wielkich rzeczy i pobudza do pożądania coraz większej doskonałości.

Św. T. à Kempis.

Jęcz i ubolewaj, żeś jeszcze tak cielesnym i światowym, tak nieuskromionym w namiętnościach, tak pełnym pożądliwości. Tak ochoczo nakłaniającym się ku rzeczom zewnętrznym, tak niedbałym w rzeczach wewnętrznych.

Tenże.

Albowiem chcenie przy mnie jest, ale wykonania dobrego w sobie nie znajduję.

Św. Piotr do Rzym.

Kocham się w zakonie Twoim według wewnętrznego człowieka, bo zakon Twój święty, i przykazania Twoje święte, sprawiedliwe i dobre, lecz ciałem służą zakonowi grzechu.

Tenże.

Nie dopuszczaj abym sądził według widzenia oczów, ani według słyszenia uszów, lecz spraw, abym w prawdziwym sądzie umiał oddzielić rzeczy zmysłowe od duchowych, a nadewszystko szukać zawsze woli i upodobania Twojego, Boże

Izaj. XI, 3.

Umacniaj się i bądź silnym.

Jozue. I, 6.

Trzeba, abys oblókł się w nowego człowieka.

Św. Piotr do Efez.

Trzeba, abys odmienił się w innego męża.

I. Król. X, 6.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 7-my powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Przy kominku (Pogawędka), przez ??—Nastroje, przez Mieczysława Głińskiego.—Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychologiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg).—Kazimierz Głiński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg).—Odczyty. I, przez Wł. Bukowińskiego.—Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dokończenie).—Myśli.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 7-my. Tom II-gi. — Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

Szlak na pułkę do szafy z bielizną.

Rycina Nr 1.

Szlak ten bardzo efektowny i nietrudny, wykonany lśniącą, białą, średniej grubości bawełną, na kolorowym płótnie. Po przerysowaniu deseni wypełnia się listki krzyżowanym ścięciem. Figury, imitujące tasiemeczkę, ścięciem poprzecznym, a następnie obwodzi się jedne i drugie ścięciem mijanym, podłużnym. Prócz tego łączy się figury pajęczkami, brzeg zaś dzierga jak zwykle wszystkie ząbki do prania.

Paltocik z pelerynką.

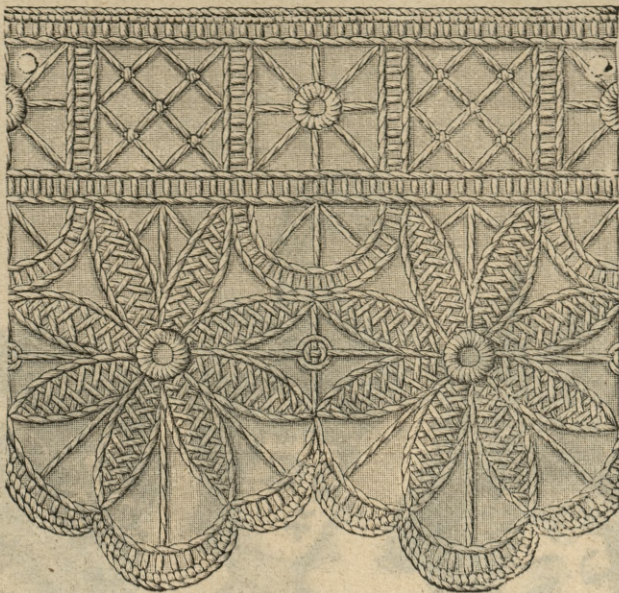
Rycina Nr 2.

Zupełną nowością jest paltocik z peleryną, z sukna w kolorze beige, przybrany aksamitem ciemno-zielonym. Z aksamitu zrobiony jest kołnierz, mały karczek, wyłogi, patki na kieszeniach, oraz pliski i aplikacja przy brzegu peleryny. Peleryna, z tyłu wykrajana w ząb, kończy się z przodu pod wyłogami. Paltocik zapięty jest na trzy perłowe guziki. Patki od kieszeni przyszyte są razem z odciętą baskiną, zupełnie gładko obciskającą biodra. Wązkie rękawy, zakończone są przy ręku aksamitnymi pliskami.

Wiosenne ubranie, przybrane jedwabnymi pliskami.

Rycina Nr 3.

Zawsze utrzymujący się w modzie kolor srebrno-szary, w zestawieniu z materyą jedwabną w ciemniejszym odcieniu i czarnym aksamitem,



Nr 1. Szlak na pułkę do szafy z bielizną.

bardzo piękną tworzy tualetę. Spódnica oszyta jest wokoło skośną, jedwabną pliską, od której w zęby ułożone, przyszyte są pliski tejże samej szerokości. Z tyłu krótki, z przodu zakończony w formie przedłużonego napiersznika, paltocikowy staniczek, przody założone są takimiż, jak dół spódnicy, pliskami. W miejscu zaszepek rozcięty stanik, podłożony jest czarnym aksamitem, który zamiast paska obciska stan. Aksamit wypełnia także podłużne wycięcie stanika przy szyi. Wysoki, stojący kołnierz, zakoń-

czony jest plisowaną falbanką z materyi. Wązkie rękawy, oszyte są przy ręku pliskami z aksamitu i małą jedwabną falbaneczką.

Wiosenne ubranie z alpaki.

Rycina Nr 4.

Materyał — szafirowa alpaka. Przybranie — materya jedwabna w szafirowe i białe paski, oraz kryształowe guziki. Spódnica o wązkim przodzie: zupełnie gładka. Stanik z ciągnącą się od boków długą baskiną, przody zakończone ma dwiema, wzdłuż przyszytymi patkami, ozdobionymi czterema guzikami z każdej strony. Stanik wycięty jest wokoło i podłożony karczkiem z materyi w paski, przedłużającym się z przodu w kształcie kamizelki, poniżej stanu. Wokoło karczka przszyta jest podwójna, na ramionach przecięta, w poprzek krajana falbana. Rękawy zakończone są mankietem z materyi.

Strojne wiosenne ubranie z aplikacjami z koronki.

Rycina Nr 5.

Materyał — jedwabna różowa w białe pasy materya. Przybranie — aplikacje czarnej koronki i ciemno-różowy aksamit. Spódnica z falbaną, przybrana jest na biodrach aplikacjami z koronki, takież aplikacje ciągną się wokoło stanika, imitującego bolero, oraz przybierają rękawy w górze i przy ręku. Bolero otwiera się na koszulce z ciemno-różowego aksamitu, zakończonej wysokim kołnierzem. Na pasek użyta być może atlasowa wstążka — biała, lub różowa. Fantazyjny kapelusz, przybrany jest aksamitem, cieniowanymi piórami i pękami różowych kwiatów.



Nr 12. Tibère. Nr 13. Paulette. Nr 14. Rosita. Nr 15. Bagnères.

R Y Z K I E.

Okrywka „Andréa.“

Rycina Nr 6.

Okrywka z czarnego atlasu. Plecy wcięte. Rękaw obcisły, marszczony przy ramieniu. Falbana z atlasu, pokryta falbaną z plisowanej gazy, spadającą na falbanę z koronki, zakończoną pailletkami. Wyłogi, przybrane galonem i riuszami. Kołnierz odstający, wypełniony riuszami.

Kostium angielski „Tosca.“

Rycina Nr 7.

Kostium angielski, z sukna w kolorze beige. Spódnica przybrana stebnowanymi pliskami. Żakiecik wcięty z tyłu. Przód, przybrany wyłogami, otwarty na kamizelce. Kołnierz odstający. Rękawy obcisłe.

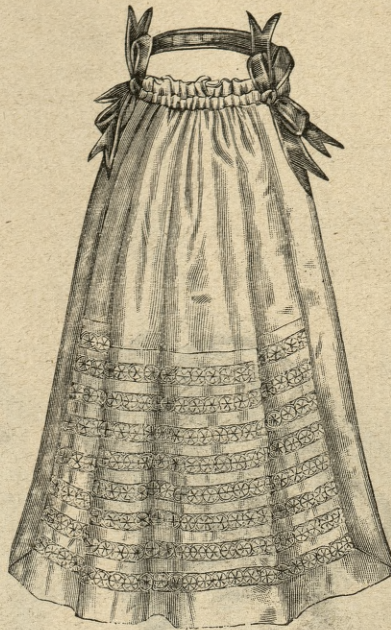
Peleryna „Granier.“

Rycina Nr 8.

Peleryna z ciężkiej koronki czarnej, podszytej białym atlasem, zakończona wysokimi, okrągło wykrajanymi falbanami, pokrytymi koronką. Riusze z gazy jedwabnej zakończają przyszyte falban. Kołnierz odstający, wyszyty plisowaną gazą.



Nr 20. Stołeczek pod nogi, pokryty wyszyciem na płótnie jawa.
(do ryciny Nr 21)



Nr 19. Fartuszek ze wstawkami szydełkowymi (do ryc. Nr 18).



Nr 8. Wstawka szydełkową robotą do ryc Nr 19. Wielkość oryginalna.

„Paulette“ ubranie dla dziewczynki od 11—13 lat.

Rycina Nr 13.

Materyał: wełna niebieska. Spódniczka cloche, przybrana stebnowanymi pliskami. Bluzkowy stanik, obcisnięty paskiem z faldowanego atlasu. Plecy bez szwu, szew jeden po bokach. Przody otwarte na kamizelce. Kołnierz z krawatką. Rękaw zakończony epoletem.

Kostium sukieny „Rosita.“

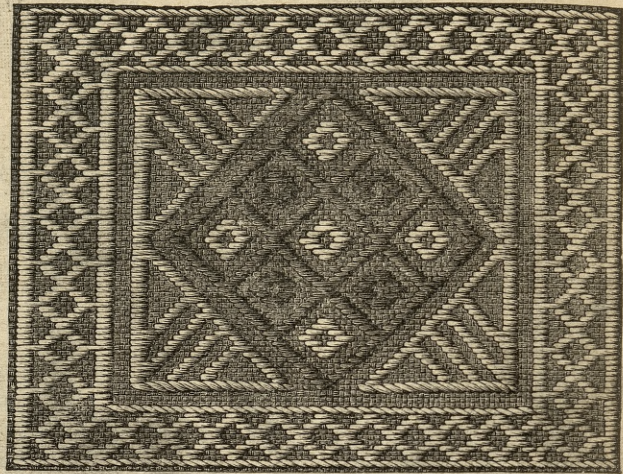
Rycina Nr 14.

Kostium w kolorze brudno-lila. Spódnica bardzo obcisła w górze, zakończona falbaną. Pliski przykrywają przyszyte falbany. Plecy stanika wcięte. Przody udrapowane oryginalnie i zapięte na guziki. Kołnierz odstający. Krawatka z gazy. Rękawy gładkie.

Płaszcz od kurzu „Bagnères.“

Rycina Nr 15.

Płaszcz od kurzu z jedwabnej materii mieniającej czarnej z lila. Falbany i pliski marszczone. Szew jeden z tyłu. Kołnierz odstający, przybrany marszczonymi falbanami naśladowuje kaptur.



Nr 21. Część do stołeczka ryciny Nr 20. Połowa wielkości naturalnej.

Żakiecik „Stéphanie.“

Rycina Nr 9.

Żakiecik z sukna czerwonego. Plecy i boczki wcięte. Przody otwarte, przystające do figury. Przybranie, aplikacja z czerwonego sukna na suknie białym, oraz wązkie galoniki złote i białe. Wyłogi okrągłe, kołnierz wykładany. Rękawy obcisłe, przy ramieniu pliski na białym suknie.

Peleryna „Elégante.“

Rycina Nr 10.

Peleryna okrągła z taffetas glace czerwonego z zielonem. Przykryta aplikacją z sukna żółtawego na tiulu, wykończoną sutąszem crème. Falbana okrągła z taffetas, przykryta plisowaną gazą w kolorze beige. Kołnierz odstający, wyszyty plisowaniem, zakończony z tyłu kokardą beige.

Pelerynka „Antibel.“

Rycina Nr 11.

Pelerynka krótka z czarnego taffetas, szew przez plecy i szew na ramieniu. Pokryta falbankami z gazy jedwabnej, karbowanej, oszytymi marszczoną wstążeczką. Tiul naszyty pailletkami i riuszami stanowi przybranie góry. Kołnierz odstający, wypełniony riuszkami z taffetas i z gazy karbowanej.

Żakiecik „Tibère.“

Rycina Nr 12.

Żakiecik z żółtawego sukna. Plecy zeszyte środkiem, 2 małe boczki. Prząd z patkami, zapiętymi na kryształowe guziki. Przybranie—pliski stebnowane 3 razy. Rękawy faldowane. Kołnierz wykładany.



Nr 16. Ubranie wiosenne z haft-m.

Nr 17. Płaszcz dla dziewczynki od 9—10 lat.

Ubranie wiosenne z haftem.

Rycina Nr 16.

Materyał: sukno koloru lila, przybranie: haft, gipiura i aksamit. Na spodnicy, haft naśladowuje falbanę, przytrzymaną w górze aksamitną pliską. Stanik, zakończony jest w górze karczkiem z żółtawej gipiury, naszyty wzdłuż szwów przednich aksamitką, haft zaś odpowiedni do haftu na spodnicy, tworzy krótkie bolero. Rękawy, przybrane są w górze haftowanymi epoletami. Pliski aksamitne otaczają brzeg bolera, stojącego kołnierza przy karczku, oraz rękawy stanowią zakończenie epoletów.

Przepisy gospodarskie.**BISKOPIKT WŁOSKI.**

Funt mąki, funt pudru cukrowego, wymieszać, dodać trochę muszkatołowej tartej gałki, trochę tłuczonego włoskiego kopru, dolać po łyżce kwaterek słodkiej śmietanki, doskonale rozrabiając, aby ani jednej krupki nie było. Tak urządzone ciasto bić łyżką przez pół godziny, następnie włożyć do formy masłem wysmarowanej, posypać z wierzchu mialkim cukrem i wstawić do pieca na pół godziny.

OBIAD NA NIEDZIELĘ.

1. Zupa à la Reine.
2. Szczupak z włoszczyzną.
3. Rosboeuf po angielsku.
4. Jarmuż z kasztanami.
5. Cietrzewie z kompotem.
6. Lody śmietankowe.